Droga do Maduraju była ciężka. Staram się nie narzekać, ale to pudło, którym nas wieziono do Maduraju było daremne. Kolorowe, ale to tutaj norma, nieforemne, z za dużymi fotelami dla pasażerów jak na taki pojazd, oczywiście bez klimy, brudne i zwyczajnie za małe jak na dwudziestopięcioosobową grupę z „plerami" dużymi i podręcznymi. W dodatku wiedzieliśmy, że ta droga potrwa około 6 godzin. Za oknami upał był koszmarny. My w tym wehikule stłoczeni jak śledzie w beczce i przywaleni bagażami. Jak tylko to ustrojstwo ruszyło spod hotelu w Puducherry, to od razu chciało się człowiekowi spać. I tu zaczyna się kolejny problem. Kumar. Szybko jak żbik reaguje kiedy namierzy kogokolwiek przycinającego komara", łapie bestia za butelkę wody i budzi delikwenta na mokro. Sam tez podsypia, ale złapany na drzemce, upiera się, że zmrużył oczy tylko na 7 sekund i na tyle akurat można. Oblał już kilku młodych i przyczaja się na następnych.

No więc po śniadaniu we francuskiej boulangerie ruszyliśmy do Maduraju, głównie po to, by zobaczyć świątynię Meenakshi z fascynującymi, kolorowymi gopurami, czyli wieżami/bramami. Zrobiliśmy sobie tzw. „siukundę" , czyli przystanek na toaletę i szybką kawkę na stacji benzynowej. Niechętnie zapakowaliśmy się z powrotem do tej naszej sauny na kołach i w końcu dotarliśmy do Maduraju. Kierowcy daliśmy tipa, wyładowaliśmy plecaki i zostawiliśmy młodych na ulicy (ale w bezpiecznym miejscu), sami natomiast poszliśmy znaleźć hotel, w którym się zatrzymamy na noc. Nie było to trudne zadanie, bo wiedzieliśmy z poprzednich wypraw o jaki konkretnie nam chodzi. Był, stał, więc wybraliśmy pokoje. I wtedy Grace zerknęła przez okno. Usłyszeliśmy: „O, nie!" Okazało się, że gopury, piękne, ozdobione figurami bóstw są poddane renowacji, zastawione rusztowaniami, rzeźby zagruntowane i przygotowane do ponownego malowania. Na szczęście można było świątynię Meenakshi obejrzeć od wewnątrz. Postanowiliśmy pójść na wieczorną pudżę, ale zanim udało nam się wejść do środka, musieliśmy wrócić do hotelu. Do świątyni nie można wejść w butach (to akurat było dla nas oczywiste), ale okazało się, że w 2019 roku wprowadzono dodatkowe obostrzenia, czyli od ponad sześciu lat nie wolno wnosić do świątyni telefonów, aparatów fotograficznych, kamer, smartwatchy, zakryte muszą być ramiona i nogi, przy czym nie sarongami. Wróciliśmy więc do naszego „Temple View", zostawiliśmy wszystko, co źle widziane, przebraliśmy się i boso poczłapaliśmy z powrotem. Od wejścia oszołomiły nas dźwięki bębnów i przyciągnął słoń, który za banknot niewielkiej wartości błogosławił darczyńców, dotykając ich głowy trąbą. Gdzieś zniknęła nam z oczu Grace… A ja z Kumarem i młodymi obeszliśmy świątynię, zaglądając gdzie się dało i gdzie nie powinniśmy z uwagi na to, że nie jesteśmy hindusami. Tymczasem owinięta szalem Grażyna weszła niemal do serca świątyni tuptając grzecznie za wiernymi. Nas pogonili, jej nie. Była sama, chusta ukryła jej jasne włosy… A następnego dnia wróciliśmy tam, by zwiedzać z przewodnikiem. Oprowadzał nas po Maduraju Miłosz K. Zobaczyliśmy jeszcze jedną świątynię, pałac, tj. Thirumalai Nayakkar Mahal i St. Mary Cathedral, zjedliśmy wcześniejszy dinner i podjechaliśmy rikszami na dworzec kolejowy, by nowym dla uczniów podczas tej wyprawy środkiem transportu dojechać do Kochi.

Nasi wyprawowicze pewnie nie raz nie dwa korzystali z pociągów, ale takich jak tu w Polsce nie uświadczysz. W Indiach koleje to chyba jedna z najpotężniejszych firm. Składy pociągów są ogromne, za lokomotywą ciągnie się sznur wagonów tak długi, że jak kolos wjeżdża na stację, to końca nie widać. Lubię sleepery. Z jednej strony toczy się w nich intensywne życie – ludzie gadają, chodzą sprzedawcy proponujący samosę, jakieś orzeszki lub czaj (herbatę

słodką jak ulepek ugotowaną z przyprawami i mlekiem), ale z drugiej strony naprawdę można się w nich wyspać. Lubię się kłaść na tych obitych niebieską ceratą pryczach i powoli oddawać marzeniom sennym kołysana przez pędzący pociąg. Z Maduraju do Kochi mieliśmy jechać prawie całą noc (18.45 – 4.58). Pociąg na szczęście nie był opóźniony. Wyprawowicze sprawnie wpakowali się do wagonów, poinstruowani przez nas poupychali plecaki pod siedzeniami i pozabezpieczali kłódkami rowerowymi, a potem umościli się na miejscach i niemal od razu zaczęli gadać z miejscowymi uczniami, którzy jechali na wycieczkę do Kannyiakumari. Uczniowie jak to uczniowie – głośno gadali, śmiali się, wypytywali się wzajemnie o różne rzeczy, a potem nasi zasnęli, a tamci około pierwszej wyszli na jakiejś stacji, żeby dojechać do celu podróży. Podobno w nocy lało, ale ja spałam jak zabita i nie słyszałam deszczu. Obudził mnie budzik w telefonie o 4.20. Młodzi szybko się pozbierali i grupa była gotową do wyjścia. Na dworcu w Ernakulam już czekał na nas Titus – właściciel hotelu, którego poznaliśmy przed laty i postanowiliśmy znowu wynająć u niego pokoje. Uczniowie pojechali do Kochi rikszami, a my mercedesem gospodarza. Lało. Jak tylko zaokrętowaliśmy się u Titusa, młodzi poszli się umyć i pospać do 10tej. My z Grace postanowiłyśmy się przejść, ale wtedy namierzył na wspomniany wyżej Titus, zaprosił do samochodu i obwiózł po mieście. Mało tego, zaprosił na kawę i porannego pączka. Kiedy wróciliśmy do hotelu, poszłyśmy spać jak młodzi. A od 10tej eksplorowaliśmy miasto. Zaczęliśmy od śniadania w pobliskich restauracjach. Za jakieś śmiesznie małe pieniądze zjedliśmy dosy (pyyycha) i Szymon „Kula" S. zaczął swoją opowieść o nadmorskim mieście Kochi. Zaprowadził nas do pałacu (Mattancherry Palace), pokazał synagogę Pardesi ze wspaniale ozdobionymi kafelkami na posadzce, bazylikę Santa Cruz, kościół św. Franciszka, w którym niegdyś pochowany był Vasco da Gama. Spacerowaliśmy też po nabrzeżu, skąd widać malownicze chińskie sieci. Ciekawscy wyprawowicze wleźli nawet na jeden z rybackich pomostów i pomogli lokalsom wyciągnąć z wody jedną z nich. Kolację zjedliśmy blisko plaży, w jednej z restauracji serwujących podobno pyszne (jestem wege, więc wierzę degustującym na słowo) ryby i owoce morza. Potem jeszcze poszwendaliśmy się po starym mieście i wróciliśmy do hotelu. Noc minęła szybko i bardzo dobrze, bo na 1.08 Kumar zaplanował wycieczkę na houseboaty pływające po kanałach Kerali. Rano powitaliśmy Anetkę, która postanowiła dołączyć do nas na dwa dni. Dziewczyna wyszła za mąż za przystojnego Indusa Abiego i od prawie dwóch lat mieszka w Mumbaju, a w 2009 roku była na XIII wyprawie do Indii. Do portu jechaliśmy około dwie godziny. Z mniejszymi bagażami (duże zostały w Kochi) szybko zapakowaliśmy się na houseboata i wypłynęliśmy w siną dal.

Ok. 12tej był lunch, potem kawka i smażone banany, wieczorem dinner… wszystko smaczne i świeże. Szymon „Kula" S. dokończył swoje wykłady, wzbogacając je o lokalne legendy. Bohaterem jednej był Parashura – stworzyciel Kerali. Jakoś wydało mi się, że imię tego bohatera pasuje do drugiego z trzech Szymonów, którzy są na wyprawie i dlatego mamy teraz Szymona Parashurę S.

Czas na łajbie upłynął nader szybko.

Z housboeta przesiedliśmy się na motorówki i wpłynęliśmy w ciaśniejsze kanały, żeby popatrzeć jak żyją miejscowi w domkach wybudowanych na wąskich pasach ziemi. Wieczorem przed kolacją poszliśmy też na spacer per pedes. A nieco wcześniej… najpierw uczciliśmy pamięć poległych w powstaniu warszawskim, a potem Kumar i Anetka

(specjalistka od kina indyjskiego) zaczęli puszczać przeboje znane z bollywoodzkich filmów, co skłoniło młodych do tańca. Kumara też dźwięki muzyki porwały na parkiet. Fikał nogami i zarzucał bioderkami jak zawodowy tancerz lub gwiazda filmu typu „Czasem słońce, czasem deszcz”. Mało tego, wykonał zwis spod sufitu naszej łodzi i skok niczym pasikonik pomiędzy tańczących w kręgu wyprawowiczów.

Już nigdy nie powiem, że nic mnie w życiu nie zaskoczy… W każdym razie, zabawa była przednia. A po śniadaniu następnego dnia przycumowaliśmy do Alappuzha, gdzie czekał busik, który odwiózł nas z powrotem do Kochi. Ostatnie godziny w tym mieście spędziliśmy na dyskusji z Anetką K. o życiu w Indiach, po której wyszliśmy na spektakl Kathakali. Widziałam tego typu przedstawienie trzeci raz… jest interesujące, ale oryginalnej jego odsłony, która rozpoczynała się zmierzchu i trwała do świtu, z interludiami i antraktami, nie zdzierżyłabym. Nasz spektakl oparty był na wyjątkach z Mahabharaty. A ponieważ trudno by było przeciętnemu widzowi – obcokrajowcowi zrozumieć o co w nim chodzi, dostaliśmy streszczenie i to po polsku. Teoretycznie. We wspomnianym streszczeniu pojawiły się bowiem „kwiatki” językowe typu:

Hanuman: Pokażę you. But nie bój. Posłuchaj moich słów bez strachu i uczynić swój umysł happy. Uczyniliśmy swoje umysły i zmysły „happy”, dotrwaliśmy przytomni do końca show (króciutką drzemkę uciął sobie jedynie Kumar, co mamy udokumentowane fotograficznie), a potem poszliśmy na kolację i wróciliśmy do pensjonatu Titusa przygotować się do dalszej podróży, której celem ma być tym razem Hyderabad.
\